

BALAMUT.

Bal jarmarkowy. *

...Usiądźmy tu, panie Władysławie. WPan, jako tutejszy obywatel, musisz znać te damy. Ten przepych, którym są otoczone, budzi we mnie ciekawość dowiedzenia się o ich stanie. Mogą-to być osoby dostatnie w domu, rządne, a może i przemysłne. Nie chcę bowiem wnosić, żeby ten cały blask był owocem marnotrawstwa. Powiedz mi, kto jest ta dama w beretce białej, rubinami okrażonej? Tyle na niej blondyn, gaz i korun, że ubior jej, tak z siebie wąły, można cenić najmniej dziesięć tysięcy.

— Jest-to pani Szambelanowa, odpowiedział Władysław: żona tego pretendenta do marszałkowstwa, o którym dzisiaj słyszeliśmy. Rzadko ta dama pokazuje się między szlachtą; przywykła do stolicy, tam najczęściej przebywa; teraz przybyła na redutę dla ujęcia zapewne młodzieży, i nawet wcześniej nad inne przyjechała, żeby popularnością bardziej ku sobie zniewolić.

— Jej, w tym wieku, myśleć o zniewalaniu młodzieży! podchwycił Podstolic.

— Wybory, wybory! mówił, śmiejąc się, Władysław. Idzie tu zapewne o przemienienie zastarzałego tytułu szambelana na marszałka i mnie się zdaje, że widoki finansowe nie mała tu będą pobudką. Stroje bowiem imościne, jej wystawne życie na wielkim świecie i wysoki ton, do którego jak do powietrza przywykła, pochłonęły już raz cały majątek męża. Dostał potem sukcesyą po stryju; lecz słysząc, że już druga cydywizya przygotowana.

— Któż jest ta dama, która oto wchodzi? To wahanie poważne głową i ten uśmiech protekcyjonalny odpowiadają dobrze bogatym jej sukniom, tym łańcuchom złotym, temu kanakowi brylantowemu i tureckiemu szalowi.

— Jest-to Prezydentowa sądu kryminalnego. Łatwo byłoby wymienić szczegółowie, z kogo te lupy. Niejeden, może, w tej kompanii poznał-

by swoje klejnoty, gdyby się odważył wydać, za co je ofiarował.

— Mijmy ją, rzekł Podstolic. To dziwna, jak powszechnie ludziom się zdaje, że o ich sprawach nikt nie wie, gdy w-oczy im nie mówi. Ta oto dama spozoru zda się rządzą gospodynią. Jej atlasowa suknia biała trwalszą zapewne jest od gazowych i piękniejszą, a zgrabna przepaska turkusowa dowodzi gustu, który często przebywa obok porządku.

— Jest-to pani Cześnikowa, odpowiedział Władysław. Mąż jej słynie z porządku i dobrego bytu. Żonie młodej nie odmawia przyzwoitych zabaw i strojów; lecz, dla pierwszych, pani Cześnikowa nie poświęca wszystkich chwil swojego życia, w drugich, łączy trwałość z wygodą i ozdobą. Szczęśliwa w domu, kochana od męża, mniej dba na przekąsy sąsiadek, które wszelako prawie mimowolną cześć powszechnie jej oddają.

— Któż-to są te dwie damy? pytał Podstolic. Jedna ciągle wkłada i zdejmuję rękawiczkę, poprawia włosy lub paciórki i tajemne na rękę rzuca spójrzenia; druga głośno rozprawia, śmieje się, trzęsie głową i bardziej do Kozaka, niżeli do damy dobrze wychowanej, podobna.

— Obie są panny, odpowiedział Władysław. Pierwsza Sprawnikówna, świeci rączkami, ponieważ, jak WPan widzisz, pełno ma pierścieni na palcach i rękę białą, która, przez podniesienie dogóry, wydaje się jeszcze bielszą. Druga Jenerałówna. Suknia jednak jej turecka nie pochodzi ze zdobyczy na Turkach, lecz z ekonomii ojca, który, służąc długi czas półkownikiem, lubo bez funduszu poszedł do służby, ze swojej atoli pensyjki zebrał majątek niemały.

— Te panny czy nie są chore? rzekł Podstolic. Bładość ich nadzwyczajna.

— Bynamniej. Nieraz widziałem je wdzielić mniej blademi, a na wieczor tak jak teraz. Dziś jednak musiały przebrać dozę, żeby się wydać bardziej interesującemi przed liczniejszym zgromadzeniem. Teraźniejsze bowiem nasze piękności uroiły sobie, że rumieniec, będąc oznaką czerstwego zdrowia i owocem twardszego życia, może tylko samym praczkóm przystawać.

— Wiem, mówił Podstolic, jak daleko posu-

*) Wyjątek z niewydanego jeszcze tomu III gospodarskiego ro mansu pana E. T. Massalskiego, pod tytułem „Pan Podstolic.”

wają nasze damy swoje stosowanie się do mody. Kto nie idzie średnią drogą, ten bezustannie z jednego błędu w drugi wpada. Dawniej ruzowały się i psuły płeć, bo rumieniec był w modzie; teraz bladłość jest wdziękiem interesującym. Lecz gdyby wiedziały, jakie wnioski obudza niekiedy zbyt uczona, zwłaszcza na młodych osobach, bladłość, możeby wołały i podejrzenie o twardsze życie i nazwisko praczek, całe to szczęście, którym przyrodzenie darzy, gdy udziela najpiękniejszej swej ozdoby, czerstwości zdrowia, i niewinnej duszy znamienia, rumieńca. Nie czują nasze damy swego obowiązku, ażeby, przez gorliwość obywatelską, unikały zbyt uczony miękkości i zdolne były wydawać ojezyźnie obywateli zdrowych i czerstwych. Jeżeli się nie mylę, na tamtym oto gronie musi sprawdzać się to zdanie, że w zdrowym ciele zdrowa dusza mieszka. Ich naturalny rumieniec, pogodne czoła, ten blask skromnych oczu, niewymuszone, pełne wdzięku poruszenia i szlachetna prostota ubioru, każą wnosić, że to muszą być osoby, które piękniejszą duszą od nieba i staranniejszym od rodziców wychowaniem zostały obdarzone. Któż są te damy?

— Jest to pani Sędzina ze swemi córkami. Dama ta, od jednych przez żart, ale prawie od wszystkich przez szacunek, została przezwana panią Genlis. Jest to wzór dobrych obywaterek. Sama kształciła swe córki, na których pochwałę dosyć powiedzieć, że godnie wstępują w ślady matki. Dóm ich jest świątynią cnoty i uprzejmości; sąsiedzi o nim wspominają z uwielbieniem, a wszyscy znajomi, jak o przykładzie do naśladowania.

— Któż jest ta wspaniała postać, dumnie wznosząca czoło? zapytał Podstolic. Jak grzecznie każdego wita, przechodząc, lubo jej ukłon zdaje się zapowiadać, że nikogo nie zna osobiście. Lornetka jej lata po wszystkich osobach: czy to dla zaimponowania niższym i okazania wyższości tej pani? Jaki kosztowny ubiór! Ten szal biały wart najmniej tysiąca czerwonych złotych. Kto jest ta dama?

— Jest to pani Hrabina, odpowiedział Władysław. Mąż jej był kapitanem, poległ pod Lipskiem. Nie wspomina nigdy o nim, bo tylko był kapitanem. Wstydziałaby się wyznać, że była żoną obywatela, który, pierwój nim mógł zostać jenerałem, na polu chwały krew przelał. Zostawił żonie znaczne dobro; imość używa, nie żałując: wojaże, stroje, bale, wszystko wytworne. A tymczasem już półowa jej włóścian żebrze chleba po okolicy i nieraz u drzwi iluminowanych, podczas samego balu, słyszano ich jęki, zmieszane z brzmieniem kapeli.

Zbliżyła się właśnie Hrabina do Szambelano-

wój. Dwa dumno-uprzejme ukłony, z uśmiechem na ustach a wrzącem oburzeniem w sercu, oddały sobie nawzajem. Szambelanowa, dla okazania się popularną, pierwsza przybywszy na wieczor, zajęła środek kanapy, stojącej na pierwszym miejscu w sali. Hrabina, dla powagi, spożniła się i utraciła pierwsze miejsce. Uczuła Szambelanowa pretensją Hrabiny do prezydencji; ale, siebie poczytując za pierwszą damę, jako przysła rzeczywista marszałkowa powiatu, nie mogła unżyć się przed Hrabiną. Ta wzajemnie, pierwsza wysokim związkiem i rodem, rościła prawo do hołdów całego zgromadzenia parafjanek.

Spotkanie dwóch ciał niebieskich nie może być bez wstrząśnienia całego systematu słonecznego. Zaledwo Hrabina, obszedłszy salę, rzuciła się na krzesło naprzeciw kanapy, które zamierzała uczynić tronem tego wieczoru. Podstolic z Władysławem, obchodząc salę poza krzesłami dam, posłyszeli następne rozmowy.

Sprawnikówna mówiła do swojej towarzyszki: — Prawdziwie, *ma chère*, ta Hrabina dmie się jak indyk a próżna jak worek Szambelanowej!

— Obie lepsze, podchwyciła Jenerałówna. Patrz, jakie loki u Hrabiny! Mój Bóże! mojabym garderobna ich nie nosiła. Zawsze to pożyczane po-koczkodauńsku wygląda.

— A jaka ręka! dodała Sprawnikówna: jak łopata; raczej jak jej oczyska wołowe.

— Prawda! podchwyciła Jenerałówna: tak jak u tej drewnianej Szambelanowej szyja. Ot to dwa pawie! pyżają się, jedna przeciw drugiej; zda się im, że obie ważne figury... Przecież mój ojciec mógłby być jenerał-gubernatorem, gdyby tylko sam zechciał... Obacz, obacz! ach, umieram! Ta wasza Cześnikowa mnie dobija swoim atłasem. Już trzeci raz widzę na niej tę suknię, a dotąd biała. Ot toż musi na nią chuchać i dmuchać, wspoł ze swoim mężem, jego-mość-panem cześnikiem Lanckorońskim, mości dobrodzieju!

— Szkoda, że taka sknera! dodała Sprawnikówna: a byłaby z niej dobra kobieta. Ale, nie obmawiając, nie widziałam niecznośniej baby. Czy uwierzysz temu, że ona całe dni gmérzy nad swojemi zatrudnieniami gospodarskimi?

— Tak jak ta głupia Burmistrzówna nad swojemi strojami, podchwyciła Jenerałówna. Wiesz jak wymuskana! Do kramki, mościa-panno, do kramki! Wiész, że ta jej siostra, Podkomorzyna, zawsze dziegiem traci?

Zaczęły śmiać się obie, a Podstolic z Władysławem przeszli za krzesło Prezydentowej.

— Na uczciwość, to ciekawa rzecz! mówiła ta do swojej sąsiadki. Obacz, ta Hrabina na wsi

nikogo ze szlachty u siebie nie przyjmuje, a tu, dla przecignięcia adoratorów od Szambelanowej, do każdego się uśmiecha, każdemu coś pochlebnego powie. Patrz, patrz, jak wabi Kapitana, oglądając przez lornetkę jego ubiór wykwinny. Otoż i ma go przy sobie. Ach, i mój mąż do niej! No, teraz Szambelan niechaj sobie kłania się: nie zostanie marszałkiem!

— Ale naszemu Marszałkowi, podchwyciła sąsiadka, niespodzianie przybyła ta pomoc. Hrabina już pewnie będzie za nim podczas wyborów, jeżeli Szambelan nie przeprosi jej za żonę. Ale wątpię; bo to pyszna jak Lucyper baba, a złośliwa jak tygrys.

— Nie lepsza i Szambelanowa. Nawet, między nami, powiem tobie, że ta jeszcze gorsza, bo pijaczka i okrutnica.

— Nie może być?

— Sama widziałam ją pijaną. Ach, co bym dała, gdyby zającie tych bab przywiodło mężczyzn do kłótni! Dawno już widziałam bitwę na reducie. Poczekaj: muszę poduszczyć Szambelanową. Popilnuj mojej chustki, moja droga przyjaciółko.

— Z największą ochotą, moja najdroższa przyjaciółko.

Prezydentowa wstała i, z uśmiechem zbliżywszy się do Szambelanowej, zaczęła jej coś szeptać na ucho. Tymczasem jej powiernica, droga przyjaciółka, obroczyła się do swojej sąsiadki i mówiła: — Ot-to żmija, ta Prezydentowa! Poszła jeszcze podniecać pożar i doreszty nam struje zabawę.

— Żeby z bitwy przyszło do procesu, odpowiedziała sąsiadka: bo to dla niej czysta intrata!

Podstolic z Władysławem stanęli za panną Klarą, która, wystrojona podług żurnalu, mówiła do swojej siostry, Podkomorzyny: — Gdybym mogła mieć taki szal, jak u Hrabiny, życiem dała!

— Powiedz Radnemu, że go nie wezmiesz, aż ci podobny szal kupi, odpowiedziała Podkomorzyna.

— Nie znasz go, siostró. To prawdziwy pedant. Chce koniecznie, abym żyła podług mego stanu. Nie poszłabym za niego, gdyby się zdarzył kto lepszy. Wreszcie ojciec przymusza, — i to jedno szczęście: będę miała gotowy pretekst do rozvodu...

— Kłamiesz, moje życie. Samaś go ciągnęła, póki nie zasmakowałaś w szalach...

— Łatwiej tobie uragać się ze mnie, kiedy sama wyszłaś za Podkomorzego.

— Czegoż się zaszepiłaś? umizgnij się do firyka, kiedy nie chcesz pedanta.

— Do kogo?

— A do tego Kapitana.

— To hołysz!

— Masz posag.

— At, dajże mnie pokój. Taki flecik!

— A Radny?

— At!.. Obacz, jak ta Prezydentowa uściśka się z Szambelanową. Godne obie! Mój Radny cierpieć ich nie może. A przecie one mają szale i perły, te jędze!...

— Ciszej, Klarcu! Mężczyźni za nami chodzą i mogą posłyszeć...

— Mam ich za cztery litery, kiedy żaden do mnie się nie bierze. Dalibóg, nasz tatuś ciężko Panu Bogu odpowie, że, mając pieniądze, nie starał się o szlachectwo! Przynajmniejby nas uszczęśliwił. Niechajże tobie zdarzyło się...

— Gadasz, szczęście! Kością w gardle siadło mnie to szczęście. Po exdywizyi trzeba było czém nadstarczyć Podkomorskiemu zasczytowi. Dla piędzi poświęcił się, i teraz mnie gryzie...

— Ręczę, przerwała Klara, że ta Szambelanowa pęknie ze złości, jeżeli nie z nią rozpoczyna tańce.

— Albo uciecze, jak przeszłego roku z drugiej reduty uciekła Kasztelanica zato, że z Marszałkową... Otoż nie z tego nie będzie. Szambelan wkłada rękawiczki i patrzy na Hrabinę. Zapewne będzie ją prosił do poloneza, aby tym sposobem utrzymać się pod jej protekcją na wyborach.

Otoż i z tego nie będzie. Patrz! Kapitan od Hrabiny bieży do bufetu. Oto prowadzi Marszałka. Otoż masz!

Marszałek, wchodząc na próg, krzyknął do muzyki: Walca! — i podał rękę Hrabinie. Szambelanowa zbladła jak chusta, sama podała stojącemu przy niej mężczyźnie rękę i oni, z jednej strony, a Hrabina z Marszałkiem z drugiej, nawypródki rozpocząć taniec pośpieszyli.

(reszta później).

Wiadomości rozmaite.

— Don Miguel, nie dowierzając mieszkańcom wyspy Madery, posłał tamczemu dowódcy rozkaz rozbrojenia partyzantów don Pedra. Dowódca zawinął się i odebrał od nich wszystkie wino. Dziewięćset pip madery, zabranych u don-pedrystów, przewieziono do Lizbony. Ministrowie don Miguela nie boją się teraz żadnej zawieruchy na tej wyspie.

— W mieście Przylądku-Dobrej-Nadziei, mieszka szwec, nieźmiernie lubiący rozumować o polityce, taktyce wojennej i literaturze. Europej-

czycy, pływacy do Indyi, zatrzymując się w Przyładku, zwykli kupować u niego obuwie; lecz, nim co kupią, muszą naprzód odbyć z nim uczoną dysputę, do której przywodzi ón zawsze swémi pytaniami. W roku 1828, półkownik James poszedł do niego obstałować sobie kilka par butów. Szewc, podług zwyczaju, zaczął wypytywać się o stanie interesów europejskich i, przechodząc z rzeczy do rzeczy, wpadł na niewyczerpany przedmiot pamiętnej bitwy pod Waterloo. — «Co Wpan trzymasz o xieciu Wellingtonie?» zapytał szewc u półkownika. — Rozumiem, że jest jednym z najpiérwszych wojowników naszego wieku. — «Ba!.. A o Napoleonie?» — Napoleon był prawdziwy jenijusz wojenny. — «Ot, jak Wpanowie mylnie sądzicie w Europie o ludziach! A ja powiadam, że Napoleon i Wellington są istne żaki w rzemiośle wojenném. Żaden z nich nie miał najmniejszego wyobrażenia o taktyce, ani o strategii, i bitwa ich pod Waterloo najmocniejszym jest tego dowodem. W tej bitwie oni takie z obojej strony popełnili omyłki, że gdyby je zrobił mój szewczyk, wysmagałbym go za nie pociągiem i przepędził z domu. Ja to Wpanu dowiodę na przykładzie: momentik cierpliwości!» — To mówiąc, pobiegł w kąt, zagarnął obiema rękami mnóstwo kopył, szydeł, botów i trzewików, wyniosł je na środek pokoju i zaczął ustawiać na podłodze w szyki i kolumny. — «Patrzaj Wpan: oto, ten rząd kopył jest prawe skrzydło francuskie; te cztery galosze niech wyobrażają lewo skrzydło angielskie; ta kupka półbucików znaaczy centrum. Ten wysoki but z palonej skury jest Wellington; ten stary trzewik, Napoleon. Tu wtykam jedno szydło, które wystawiać nam będzie marszałka *Ney'a*; to drugie szydło jest jenerał *Grouchy*. Pantofle i tę smolepostawmy stylu: to będzie rezerwa. Ach, prawdziwie, nie mam z czego zrobić feldmarszałka *Blücher'a*!.. A to będa!.. Ten kopył... Nie, to nazbyt mały; trzeba coś większego. Siadaj Wpan, panie Półkowniku...» — Bardzo dziękuję; wolę stać. — «Ale bardzo proszę!..» — Zostaw mię Wpan, jak jestem. — «Nie podobna!.. bo mi Pan pomieśszasz cały plan bitwy. Usiądź Pan, choć na chwilkę.»

Półkownik usiadł. Szewc susem przeskoczył przez ustawione szyki kopył, trzewików i szydeł, przykląkł i w-lot ściągnął but z nogi zdziwionemu Anglikowi; przeskoczył znówu, postawił but u drzwi, wiodących do alkowy, i rzekł:

«*Tu Marcellus eris*: ten but będzie feldmarszałek *Blücher*!.. Owoż tedy, mając przed oczami cały porządek, w jakim stały do boju oba nieprzyjawnowojska, łącno sądzić możemy o sposobie, jakim się były. Centrum francuskie uderzyło na centrum

angielskie i połamało szyki. Ten wysoki but z palonej skury, któryśmy nazwali Wellingtonem, zaczął ustępować. Prawe skrzydło angielskie wstrzymało pęd nieprzyjaciela przez czas niejaki; tymczasem, ten Pański but, *Blücher*, przybył niespodzianie na pole bitwy i przeważył zwycięstwo na stronę Wellingtona. Ale to tylko przypadek: Pański but mógł nie przybyć albo przybyć poniewczasie: wtenczas, pytam, co by się stało z tym palonym butem? Ten także stary trzewik, Napoleon, popełnił niedarowany błąd, że postawił, dla wstrzymania tego buta, jedno tylko to szydło, jenerała *Grouchy*: ón powinien był postawić dwa, trzy, cztery takie szydła, i nie dopuściłby *Blücher'a*»

Dla większej jasności dowodzenia, szewc wetknął w podłogę kilka dużych szydeł przed butem półkownika.

«Widzisz więc, panie Półkowniku, że oni oba bili się jak szewcy, a nie jak wielcy bohaterowie, jak ludzie głęboko znający taktykę i strategiją. Gdybym ja dowodził wojskami na tej bitwie, tedybym jednego i drugiego w-oka-mgnieniu zbił na podszewę. Naprzód, posunąłbym tę kolumnę.»

Tu zaczął prędko posuwać i przestawiać swoje kopyła, szydła i trzewiki, perorując coraz żywiej i silniej.

«Potém, temu korpusowi kazałbym zająć zboktu; tym pantoflóm dałbym rozkaz uderzyć stylu. Tak okrażywszy Wellingtona, obracam się na Cesarza Francuzów, puszczam na niego ten korpus sprzodu, tym dwóm kolumnóm każę zachodzić z boków i tyłu; otaczam jednego i drugiego: naciéram, zmuszam wołać o pardon i biorę Wellingtona w niewolę.»

To mówiąc, szewc zaperzony chwytą za-łeb but z palonej skury i kładzie go sobie pod pachę.

«Nie dając czasu obejrzeć się Francuzóm, zwracam moje siły, atakuję Napoleona i także zabiéram w niewolę.»

Tu skolei porwał stary trzewik i schował do kieszeni.

«Mając w mych ręku obu wojujących wodzów, ogłaszam bitwę zakończoną; i, kiedy *Blücher* przyciągnąłby mi na pomoc, powiedziałbym jemu: Mospanie, już po mszy i po kazaniu! Nie potrzebuje Waszeci; idź sobie do stu djabłów.»

I w zapale zwycięstwa, porwał but półkownika i cisnął przez okno na dziedziniec.

«Teraz, panie Półkowniku, jestem na Pańskie usługi: natychmiast zdejmę miarę. Nakiedy Pan potrzebuje nowych butów? Trzy pary będą gotowe pojutrze. Chłopcze, pójdź, podejm na dziedzińcu *Blücher'a*... rozumiesz mię?... znajdziesz tam but pana Półkownika!»